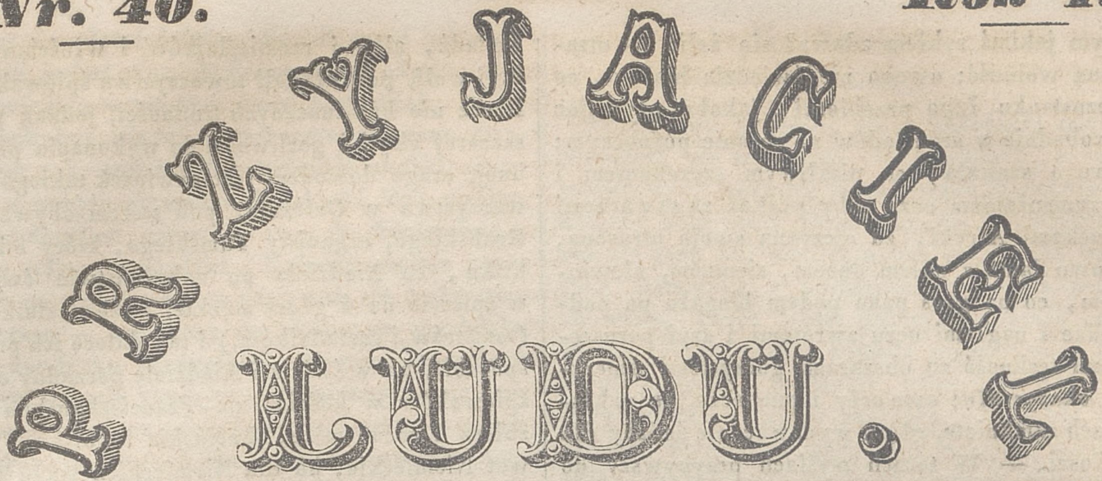
Nr. 40. **Rok 15.**



Leszno, *dnia 30. Września 1848.*

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

Ciążyń. Lenda.

Nadeszła Niedziela; niebo jak kryształ czyste, a słońce ognistą twarzą rozjaśniało wszystkie zaułki i kąty, wszystkie pokoje i komory, wdzierając się przez dymniki nawet do sklepów na ten czas pustych, w których zapomniane i zagrzebane w piasku gdzie niegdzie jarzyny leżały. Tu perka długie, białawe wyciąga łęty, jak młode węże wijące się ku światłu — tam zwiędła marchew, albo pietruszka, blado-żółte natki cienkie i długie wystrzeliwszy, w ostatniém wysileniu żywotnych soków podnosi się ku oknie, zkąd błogie światło jakby na pożegnanie raz jeszcze wpada i umierające dzieci ziemi ciepłym całuje promieniem. Ćwikła nawet tak pełna życia i krwi czerwonéj, leży jak spłowiała chorągiewka zdobyta w dawnych bojach, zachowana i zapomniana w pustéj po zmarłych rycerzach komnacie. O jakaż tęsknota trawi owe twory, wyrwane z rodzinnéj ziemi swojéj! — jakże każde tętno życia (bo życia w nich któżby nie widział?) pozbawione światła niebieskiego i ciepła — coraz marnieje, słabieje w długiém konaniu. Jak więzień w kazamatach i kopalniach podziemnych, tak one rośliny powolną giną śmiercią, zazdroszcząc może popiołom w grobach cmentarza spoczywających. Ale cóżto! zacząłem o radosnéj Niedzieli, o uroczystém świetle słońca, a doszedłem do smutnych scen sklepów i więzień! Takto wszystko na świecie dwojakie nosi piętno, cierpienia i nadziei; i człowiek kiedy jedną myślą gubi się w chwale niebios, któréj żadne oko nie widziało, żadne serce nie pojmuje — to drugą myślą zstępuje do grobu, którędy droga do owych przybytków górnych. Więc zajaśniał dzień Boży nad miastem, nad kościołem Ś. Józefa i cmentarzem jego, gdzie w cieniu drzew już liczny czekał lud. I myśmy poszli do kościoła, bo dzwony tak uroczyście, tak pełnemi i dźwięcznemi tony wzywały wiernych Polaków do przybytku pańskiego, i gromadki ludu strojne tak świetnym postępowały orszakiem, że w dwojnasób uczułem pociąg stawania w pośród braci, i wspólną pieśń, wspólne modły do wspólnego zasłać ojca pragnąłem. Patrząc po twarzach ludu, nie mogłem dostrzedz owéj swobody, owego ukontentowania i szczęścia, które w dni Niedzielne u nas twarze włościan przybierają. Piętno ukrytego cierpienia nadawało obliczom wyraz osobliwy, słowem nie skreślony, który i nam prawie odejmował część radości; i przypomniała mi się, gdym przestępował kratę w progu bramy cmentarzowéj — owa menażerya van Akena z wszystkiemi w niéj zwierzętami; ów lew, co pokazując sztuki na głos pana, marko-

tnym jakimś rykiem zdawał się żalić na utraconą wolność; owego niedźwiedzia białego, co bezustanku łapą przebierał, jakoby pływając swobodnie w śród lodów na oceanie północnym; owego szakala, co piskliwym szczekaniem i przymrużaniem oczu niby płakał za skwarnemi piaskami Afryki, za ojczyzną swoją utraconą, i owo lama z okiem dużém, ciemném, niewinném, co na głos pana pędem biegało po podłodze i nagłemi oczu zwrotami i szyi poruszeniem tęskność za obszarami górzystemi Ameryki okazywało; owe orły i puchacze, co w klatkach zamknięte, głosu wydawać nie śmiały dla żałości. — W takich myślach przybywszy do kościoła, i oddawszy ukłon i cześć Panu Bogu — siadamy. Nim ksiądz wyszedł ze Mszą św., kapela zaczęła stroić instrumenta. Ignacy, jako amator muzyki, wstał z ławki i prosto na chór się udał; my za nim. Zastaliśmy dosyć liczną kapelę. Niebawem pan Ignacy wziął się do ulubionego instrumentu swego, który był flet, Xawerek do tenoru, ja zaś do głosu basowego, aby chwała Boska huczniéj brzmiała w kościele napełnionym parafianami. Niechaj kto sądzi jak chce o muzyce w kościołach naszych; mojém zdaniem byłoby niesłusznie rugować ją z powodu miernego wykształcenia członków, składających kapelę. Nie od wczoraj to głosy powstające na zły gust panujący po parafiach, na hałaśliwą i źle wykonywaną muzykę w kościołach miast mniejszych, na zły dobór kompozycyi i t. d.; nie raz radzono zaniechać muzykę instrumentalną, zastępując ją śpiewem choralnym na wzór Protestantów. Nie mogłem się nigdy zgodzić na to, aby dla niedoskonałości, w której jeszcze widzimy kapele nasze po powiatach — zanucić dawny zwyczaj i drzewo sztuk pięknych, dosyć u nas zaniedbane, pozbawić jednéj gałęzi. Zamiast burzyć i wywracać gmach stary, choć uszkodzony albo nie wykończony, nie założywszy nowego, lepszego, trzebaby się raczéj wziąść do naprawy istniejącego. Wtedy dopiero możnaby poznosić orkiestry miasteczkowe, tam, gdzie są niedoskonałe,— gdyby lud albo przynajmniéj młodzież o tyle była przysposobiona, iżby mogła śpiew prowadzić na kilka głosów. Są tu i ówdzie chwalebne usiłowania i początki, ale daleko nam do pożądanego celu. Nie poślednią uczyniliby przysługę ogółowi kantorowie, organiści, albo ktokolwiek bądź, gdyby zebrawszy czeladź, albo i rzemieślników i włościan dobréj woli, pozakładali towarzystwa śpiewaków. Rzecz nie bez znacznych trudności, jednak przy szczeréj chęci i gorliwości do wykonania podobnéj, czego dowodem jest zawiązek takiego towarzystwa w Gnieźnie, pod stérem obywatela Grabskiego, organisty Tumskiego, który od lat kilku, co Niedziela po nabożeństwie ćwiczy w śpiewie na 4 głosy męzkie, z rzemieślników, (majstrów i czeladników,) i tak dalece ich przysposobił, że w święta i Niedziele porządny chór śpiewaków w kościele po-Franciszkańskim się zbiera i różne msze, Łacińskie i Polskie (nawet Niemieckie, bo dla Niemieckich także Katolików bywa tam nabożeństwo), dosyć pewnym tonem i ruchem wykonywa. Sądziłby kto, że śpiewacy zapewne znają muzykę instrumentalną, że, grając na instrumencie, jaki taki już się obeznał z nótami. Bynajmniéj. Gorliwość chwalebna zgromadziła tych uczciwych obywateli, nie znających żadnéj muzyki — a praktyczny talent obywatela Grabskiego, nieprzerwane jego ćwiczenia, wkrótce najpiękniejszy odniosły skutek; tak, iż z nót każdy głos śpiewał. Wrodzona Słowianom śpiewność i słuch muzykalny oczywiście ułatwił pracę, i nic to nie zawadzi, że śpiewacy po części ze słuchu, szczególnie w początkach, śpiewają — jednak cel osięgnięty; a Pan Bóg ma chwałę, a parafia piękny wzór i zachętę do postępowania na téj drodze, nie mówiąc o innych błogich skutkach, jako to, że się nie jeden odwraca od zabaw karczemnych i przejmuje się duchem szlachetniejszym, chrześciańskim, narodowym, ile że obok śpiewów kościelnych, narodowe nie zaniedbują się.

Na chórze Pyzderskiego kościoła uwijali się śpiewacy, skrzypkowie, waltorniści, fletrowersiści i klaryneciści. Brak było trębacza; więc sam organista, gorliwy muzyk i dyrygent amatorskiéj orkiestry, uczciwy Tomaszewski, ile razy przypadało solo na trąbkę — zeskoczył z ławy swojéj i porwawszy trąbkę, dobitne z niéj wyprowadzał tony z wielką biegłością. Tak według przysłowia, ręka rękę myła, noga nogę wspierała, i była zgoda i jedność w całéj orkiestrze i muzyka huczna, i sądząc po gorliwości, z jaką każdy pracował, zapewne Bogu miła. Piękne słowo Górnickiego, że: śpiew czyni duszę sposobniejszą ku dostąpieniu błogosławieństwa — tu się dał zastósować. — Po

Mszy św. dowiedziałem się, iż część orkiestry naszéj jechać chce do Ciążynia na odpust, który właśnie w ten sam dzień przypadał. A dla czegobyśmy nie mieli towarzyszyć gronu amatorów tak gorliwych i zwiedzić okolicy słynnéj z pobytu prymasów Polskich? Tak myśląc, oświadczyłem gotowość swą do Niedzielnéj o milę tylko przejażdżki. Koledzy chętnie przystali na propozycyą, a ponieważ nie było wiele czasu — więcęśmy po skromnym przekąsku wyruszyli ku Ciążyniowi. Pomimo spiesznego biegu rączych koników, ledwieśmy zdążyli na summę. Już na zielonym cmentarzu w cieniu starych lip, oprócz kilku rzędów powozów i wozów, mała tylko garstka ludu pozostała; nie mogąc się pomieścić w ciasnym kościołku, do którego ani się dotłoczyć nie można było. Gdyby nie boczne drzwi, prowadzące na chórek, tedybyśmy ani nie byli mogli dostać się do świątyni. Przy wielkim upale dnia tego, łatwo sobie wystawić, jak parno być musiało w kościołku ludem napchanym. Msza św. wyszła. Kapela rznąć zaczęła po swojemu — my pomagać według możności — nie zważając na gorące powietrze, na obfite poty, na trudność oddychania. Kazanie szczęściem, nie zbyt długie było — choć dosyć widać, trafiało do serc parafian; a kiedy ostatnie intrady hucznym grzmotem zapowiadały koniec nabożeństwa — tośmy szczerze ucieszeni spieszyli z świętéj łaźni na wolne powietrze, pod rozłożyste lipy cmentarza. Jak miłym był widok tego ludu, co się sypał z drzwiów kościelnych, i w jasnym stroju Niedzielnym na różne strony rozchodząc się, całéj okolicy nadał uroczyste i wesołości piętno; cała przyroda i wszystkie w niéj żyjące stworzenia zdawały się głosić, że dziś święto i na ziemi i w niebie.

Wstąpiwszy do karczmy na piwo, zastaliśmy nie mało ludu, krzepiącego się spokojnie wódką i piwem. Nie długo tam cisza trwała. Zjawiło się parę grajków, i nuże w okamgnieniu kilkanaście par kręci się po podłodze i za chwilę cała izba zawalona ludem. I tu uważałem, że jakaś siła tajemna wstrzymuje podochoconych od śpiewu, od wynurzenia uczuć swoich. Tańczono, ale wykrzyków i wierszyków prawie nic nie było. Uciekaliśmy po chwili z natłoku i gorąca, radząc co daléj począć z sobą.

(Dokończenie nastąpi.)

Krotoszyn.

(Ciąg dalszy.)

Prócz tego podania, nic o założeniu miasta wynaleść nie mogliśmy. W papierach, aktach miejscowych mało się przechowało szczegółów, któreby nam jasny obraz wzrostu, i powiększania się jego dać mogły, a tém mniéj, aby nam jaką wzmiankę o początkach założenia przechowały. Przez częste pożary, w latach osobliwie (1656, 1774), najazdy nieprzyjaciół archiwa miejskie i kościelne, jedne stały się pastwą płomieni, drugie zaginęły. Taki był los nieomal wszystkich archiwów naszych miasteczek, co nie małą trudność sprawia chcącemu pisać ich historyą.

W najdawniejszych czasach Krotoszyn był własnością Krotowskich — zostawał w ich ręku aż ku środkowi XVI wieku. (*) Z téj familii w roku 1415 Wierzbięta przeniosłszy miasto z dawnego miejsca na dzisiejsze — gdzie była, jak przywiléj opiewa, wyspa (**) i folwarki Banów i Oraczewice, nadał mu prawo Magdeburskie, darował wszystkie pola do wspomnionych folwarków należące, z pastwiskami, łąkami, lasami, polowaniem, rybołostwem, łowieniem ptaków i t. d., zachowując sobie dominium supremum. Dla prędszego odbudowania miasta, i podźwignięcia go, uwolnił mieszkańców od opłacania czynszów, i danin, jakoteż mieszkających na przedmieściu, zapewne Błoniu dzisiejszém, od posług dworskich. Uwolnienie od czynszów trwać miało lat 6, u tych zaś, którzyby pogorzeli, lat 8. Po upłynieniu zaś tego czasu, spłacać mieli z łanu każdego w dzień Ś. Marcina po trzy złote Pragskie.

Te i tym podobne darowizny i przywileje, jakoteż staranność dziedzica o dobry byt mieszczan, sprawiły, iż i ludność powiększać się poczęła — i miasto podnosić się i kwitnąć handlem i dobrém mieniem. Wierzbięta, ów drugi założyciel Krotoszyna, upięknił go przez odbudowanie starego zamku, o którym i Starowolski wspomina. — Z czasem jednakże ów zamek wspaniały z pięknym ogrodem, fossami i bramami, kolebką znamienitych i ojczyznie dobrze zasłużonych rodzin Krotowskich, Niewieskich, Rozdrażewskich i t. d. przekształcany,

(*) Wspomnienia Wielkopolski, Raczyński, pag. 287, 288.

(**) Na téj wyspie.

utracił swoje ozdoby, stoi wprawdzie dzisiaj, lecz przeistoczony, ani śladu tych czasów na nim nie widać, a ciekawe historyczne szczegóły, przyległe do tych murów, razem zsławą ich właścicieli przebrzmiały, wygasły, przeminęły, jak przemijają chmurki na błękicie niebios. Dziedzictwo możnych i potężnych rodzin, przeszło w ręce obcego plemienia; stoi głuche, opuszczone. Ściany jego, zdobione niegdyś bogatemi łupy Tureckiemi, Tatarskiemi, z podziwem słyszą cudzoziemską, sobie niezrozumiałą mowę. — Znikła ozdoba, stoją tylko rozłożyste drzewa, zeszłego wieku dzieci, i szepcą żałobnie przy powiewie wietrzyka o chwale dawnéj téj dziedziny. O jak zmieniło się wszystko — ani pana, ani licznéj dworzan drużyny, ani zbrojnych w żelazne zbroje rycerzy — nie ujrzysz; nie tętni dziedziniec pod pędem dzielnych rumaków, niosących mężnych rycerzy, ciągnących na wojenną wyprawę. Wszystko minęło — przeszumiało życie jak wicher po wierzchołkach drzew — cicho i smutno.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ksiądz J. Falkowski, Dominikan.

Był mąż w kraju naszym bardzo znany, a w świecie literackim mało znany, ś. p. O. Falkowski, Dominikan Litewski; mało było atoli takich, ktòrzyby wpływ równie zbawienny byli wywarli. Pamięć jego na Litwie, w któréj mieszkał, i na Podolu, w którym tylko kilka zabawił miesięcy, z powodu jubileuszu w r. 1826, nie prędko się zatrze. Ileż to on dusz ponawracał do Boga, ileż grzeszników skruszył, ileż ciemnych w religii w niéj oświecił, słabych wsparł i wzmocnił. Prawdziwy ten misyonarz od lat kilkunastu w spokojném legł grobie, a nauki jego wryły się pamięci słuchaczów, i teraz je ojcowie dzieciom, nawet wnukom podają. Nauka Chrystusowa ma być głównie ustnie podawana, kiedy tak ją Zbawiciel nauczał, kiedy tak ją kościół przez Kapłanów szerzy; i dla tego téż jakkolwiek pięknemi są pomniki wymównego piora Ks. Falkowskiego, piękniejszemi są jeszcze owe nie zatarte wrażenia, jakie po sobie pozostawił w sercach tylu tysięcy słuchaczów.

Pisane kazania Ks. Falkowskiego, których teraz w Wilnie powtórną robią edycyą w 6 tomach, (*) oraz piękne jego kazania jubileuszowe, które był wydał pod imieniem: *Kazań kilku Księży Dominikanów*, w roku 1826 na Podolu mianych, nie zaprzeczając nigdy owéj powagi, jaka przystoi kościelnemu pisarzowi. Przeciwnie się działo z ustnemi jego kazaniami; przypominały one przemowy missyjne, iżadnych nie szczędził usiłowań wyobrazni, dowcipu i znajomości ludzi, celem obudzenia prawdziwéj i gruntownéj pobożności w słuchaczach. Był on ciągle obrazowym. Wiedzą Wielkopolanie, jakiéj potęgi dodaje natchnionym słowom Sufragana Dąbrowskiego obrazowość jego imaginacyi, — otóż ta sama zaleta odznaczała mowy O. Falkowskiego. Jakby z bogatéj kopalni wydobywał skarby uczucia, narodowych wspomnień i tego staropolskiéj trafności wyrażenia, którą Anglicy *humorem* przezwali. Żarty łączył z najpoważniejszemi nauki, i dowcipem wesołym orzeźwiał słuchaczów, skoro uwagę ich obudzać potrzebował. Sprawiał to, że ciągle natężaną bywała na wszystkie jego słowa, a że słuchacze nigdy ich zatrzeć nie zdołali z pamięci. Dziwne to nie raz bywały zjawiska psychologiczne, a raczéj działania łaski oczywiste. Najzawziętsi grzesznicy kruszyli się po latach kilkunastu bezbożnie spędzonych; inni może więcéj ciemni niż popsuci wyznawali, że tak im umiał dojść do żywego, że nawet najskrytsze grzechy, co sobie do śmiertelnéj chowali pościeli, — wyjawić musieli u św. spowiedzi; a wszyscy utrzymywali, że kazania miał wprost do nich, że ich wyraźnie i wyłącznie miał na oku. Powtarzały się na Podolu cudowne powrócenia do Boga, jakie to niegdyś sprawiał ów wzór zakonu kaznodziejskiego, Śty Wincenty Ferreryusz, którego tak piękny mamy opis w naszéj literaturze. Najzawziętsi nieprzyjaciele bratnie sobie podawali dłonie, wracał pokój do stadeł małżeńskich, do skłóconych rodzin i gmin. Gdzie kazaniem lub spowiedzią nie dokazał, biegł O. Falkowski osobiście zanosić słowa zgody. Matkę pewną, od lat kilku na córkę zagniewaną, daremnie starał się przebłagać; ale go to nie odstręczyło, i owszem, sam raz do jéj wbiegł po-

(*) Oprócz kazań w 1845 r. wydano we Wilnie dziełko Ks. Falkowskiego: *Wielki Tydzień*, zawierające opis i objaśnienie obrzędów wielkotygodniowych, i rozmyślanie duchowne.

Przyp. Red.



Widok rynku i ratusza w Krotoszynie.

koju, błagając ją o litość nad dzieckiem, a raczéj nad własną duszą; lecz zamiast aby się skruszyła, zawzięta Pani w twarz go uderzyła. Wyrzekł Dominikan, że Chrystus więcéj ucierpiał, i zniósł cierpliwie obelgę. Mniéj szczęśliwy, niż Skarga, niż Baudouin, co nawrócili taką pokorą tych, co ich zelżyli. Nic go nigdy nie wstrzymywało od niezmordowanéj duchownéj pracy. Kazania jego były więcéj podobne do nauk, niż do kazań; zaczynał często od uporządkowania słuchaczów w kościele, rozłączenia ich na dwie części, potém napominania tych, co bez uszanowania wstępowali. — Powstawał nieraz, jako nie trzeba być jako **pniakiem** w kościele; kazał powtarzać ludowi zwykłe codzienne ranne modlitwy, poprawiając błądzących i tłumacząc modlitwę Pańską i Pozdrowienie Anielskie. Zalecał porządek przy procesyach, szczególniéj zachęcał większe Panie do chętnego noszenia ółtarzyków. Zachęcał do uczęszczania do Stołu Pańskiego, nazywając **roczniakami** tych, co tylko raz w rok to czynią. Wymowa jego natchniona, a pełna życia, a przytém prostoty, szczególniéj lud ujmowała, i wielkie wrażenie, jakie kazania jego sprawiały, po części ztąd pochodzi. Zaiste po części, bo nie może nikt nawracać, kto sam wysoko w cnocie posuniętym nie jest, i kto nie ma głębszego życia wewnętrznego. — Falkowski urządzał najstósowniéj nauki Jubileuszowe, a kończył je zwykle po tygodniu, lub 2. tygodniach procesyą na cmentarz, czyli na **Józefatową** dolinę, wraz z kazaniem o *Sądzie ostatecznym*. Było to zawsze najpiękniejszém z jego kazań; w niém to całe bogactwo duszy swéj wylewał, w niém to uderzał tak silnie słuchaczów, że teraz po latach dwudziestu, gdy ciało i kości tego czcigodnego zakonnika pruchnieją, dotąd Podolanie wnukom swoim o O. Falkowskim opowiadają. Płacz i łkania napełniały cały cmentarz, a powszechna skrucha stawała się najlepszą rękojmią poprawy. — Ileż to od roku tego 1826, ostatniego tryumfu kościoła w zaburzeniu kraju, — ciężkich chwil nastąpiło! ileż to mężnych serc trzeba było do przetrwania tylu boleści i uciemiężenia kościoła; aliści świętobliwy Dominikan złożył te skarbnicę, z któréj czerpano dotąd w czasie prześladowania. Dotąd błogiéj jego błogosławią pamięci.

Ojciec Falkowski umarł na Litwie przed laty kilkunastu; aleź zakon jego u nas kwitnąć nie przestał. Wstąpił w jego ślady zacny O. Filip Mokrzycki, którego piękne kazania całéj znane Polsce, dowodami rzadkiego męstwa i wiary niezłomnéj. Ozdobą tego zakonu jest jeszcze O. Leszczyński, który tém był dla Krakowa, czém O. Falkowski dla Litwy; a jako Francya od lat sześciu z coraz większym słucha zapałem natchnionych słów O. Lacordaira, tak Polska mieć znów będzie swych Dominikanów, równie wymownych. Wymodlą jéj to naszych czterdziestu jednych Męczenników Dominikańskich, których w Sandomierzu Tatarzy wymordowali; i ci wszyscy Męczennicy Islamu i Siczy, na których pamiątkę Ojciec św. Dominikanom Podola i Ukrainy pasy koloru czerwonego, jako na męczeństwo przeznaczonym, nosić kazał.

Dodać należy, że on sławny Dominikan O. Jubellot, który przed 20 laty w Rzymie za największego uchodził mówcę i OO. Venturę i Finettego przewyższał, także z naszéj pochodził familii, domyślać się, że z Zabiełłów.

Kończąc artykuł o O. Falkowskim, wzywać wypada prowincyą Litewską, aby żywot jego opisała. Wiemy tylko, że był na wielkim świecie pierwéj nim wstąpił do zakonu i że w nim zebrał te mnogie doświadczenia i wyćwiczył ten dowcip tak trafny, których umiał łożyć na Bożą chwałę. (*)

††.

Sprowadzenie Siostr miłosierdzia u św. Kazimierza w Warszawie.

1. *Ranek Królowéj.*

W komnacie ozdobnéj w kosztowne makaty, Perskim kobiercem wysłanéj, kilka cór naj-

(*) Tenże czcigodny Kapłan wielce przysłużył się cierpiącéj ludzkości. Za jego staraniem w roku 1828 otworzono w Warszawie przy Instytucie głuchoniemych w gmachu byłych koszar kadeckich przytułek dla ociemniałych — a chociaż upadł ten dobroczynny zakład po parę latach dla braku funduszów, jednakże błoga myśl nie zgasła wśród tylu trudności. W roku 1829, 1842 wznoszono go znowu, i istnieje aż do dni naszych. Zakład ten liczy kilkunastu wychowańców; w nim odbierają nieszczęśliwi nie tylko potrzeby do utrzymania życia, ale też religijne i naukowe wychowanie. Najwięcéj trudnią ich wyrabianiem słomianek, sieci i siatek — jest także zamiar uczenia ich koszykarstwa. *Przyp. Red.*

znakomitszéj Polskiéj ślachty oglądało z cichemi szepty, rozłożone na obszernéj sofie bogate szaty, w które Marya Ludwika ubrać się miała w krótce, by przy królewskim stole z wrodzoną sobie uprzejmością obcych posłów przyjmować. Szczególną ich uwagę zwracał strój głowy z ogromnych pereł, i niepojętéj cienkości koronek, zręczną ręką ułożony; daléj nieco panny służebne przyrządzały różne szczegóły ówczesnéj toalety, a przy gotowalni, wsparta na dłoni, zatopiona w myślach, siedziała niewiasta, którą raz intrygantką, to matką ludu, to opiekunką kraju nazywano. Chociaż młodość jéj dawno już przeminęła, choć nigdy regularnie piękną nie była, a w téj chwili ściśnięte usta i brwi ściągnione jakąś przykrą myślą nadawały jéj pozór surowości, przecież wyniosła i kształtna postać, płeć nadzwyczaj czysta i biała, blask wielkich czarnych oczu, a nadewszystko słodki i poważny wdzięk w każdém jéj poruszeniu wyraźny, stawiały jeszcze Maryą Ludwikę w rzędzie pięknych kobiet ówczesnych; stały charakter i wielkie umysłowe zdolności, zapewniały jéj historyczne znaczenie, a miła słodycz charakteru w zwyczajném życiu, wzbudzała serdecznie tych, co ją z bliska otaczali.

Wsparta, jak mówiłem, na ręku, przeglądała papiery, które jéj średnich lat mężczyzna, w Francuską suknię ubrany, z uszanowaniem podawał; na wielu z nich kładła szybko cyfrę swoję; jedne odkładała na bok, inne zaginała na rogach, w końcu wziąwszy kilka arkuszy na kolanach jéj leżących, dopisała w każdym po parę wierszy, i oddając je sekretarzowi swemu, rzekła:

„Panie Desnoyer! proszę, żeby te listy dziś jeszcze do Paryża odeszły; już tylko ztamtąd spodziewam się pociechy.

„I tę notę do Rzymu prędko wyprawić wypada; dobrzeby było, żeby pismo pana Kalinowskiego, z pod Batowa, Królowi się dostało; reszta nie pilna, tylko te papiery (dodała, wskazując na odłożone z boku), niech panna de Villers zaspokoi.“

Ukłonił się pan Desnoyer i wyszedł z komnaty; panny służebne poczęły ranny ubiór przywdziewać Królowéj, a gdy już długie włosy, namaszczone wonnemi olejkami, utrefione zostały, jedna z dziewic stojących na boku ujęła żywo ów śliczny strój głowy, i zbliżyła się do Królowéj, a stanąwszy u gotowalni, rzekła:

„Pozwoli Najjaś. Pani, abym ja dzisiaj dokończyła jéj stroju?“

Marya lekko głową skinęła, a młoda dziewica, poprawiając delikatną tkankę, dodała:

„Tylko w naszym Paryżu potrafią coś tak pięknego utworzyć — co to za lekkość! prawdziwie to pajęcza przędza — a biała! Na tych cudnych, czarnych włosach, będzie to jak śnieżna chmurka wyglądało.“

Uśmiechnęła się smutnie Królowa.

„Moja Maryo!“ rzecze; „nie wiesz sama, jak ciężką prawdę żartem wyrzekłaś! Oddawna już prawdziwe chmury osiadły moje czoło, prawdziwy szron włosy pokrywać zaczyna.“

„Co!“ zawołało dziewczę z niedowierzaniem, i ogniste oczy zwróciło na czarne kosy Królowéj, lecz wnet uśmiech znikł na ustach, wesoła dotąd twarz mówiącéj bolesny przybrała wyraz, bo rzeczywiście, wśród świetnych splotów Maryi Ludwiki, kilka śrebrnych włosów błyszczało.

„A widzisz Marysiu!“ przerwała żartobliwie Królowa.

„Ależ kiedy przed niedawnym czasem pozwoliłaś mi Najjaś. Pani czesać swoje włosy, to jeszcze tego nie było?“

„Bo wtedy jeszcze Chmielnicki nie zniosł naszych pod Batowem; jeszcze Siciński swawolnym wykrzykiem nie zerwał obrad sejmowych.“

„O pani! jakże głęboko do serca bierzesz niepowodzenia tego kraju, który przecież nie jest twoją ojczyzną;“ mówiła z wyrzutem dziewica, wspierając się z wdziękiem na niskim taborecie, stojącym u nóg Królowéj.

„Ja kocham ten kraj Marysiu,“ odrzekła Monarchini; „czuję nawet, że w tych czasach potrzebuje on więcéj, niż kiedy, miłości i poświęcenia odemnie. I ty pokochasz może tę ziemię.....“

Piękna ulubienica potrząsnęła głową, i spojrzała znienacka na włosy Królowéj; w téj chwili uchylono ciężką firankę, zasłaniającą drzwi wchodowe i weszła kobieta, nie pierwszéj już młodości, blada, miłego wyrazu twarzy, w popielatéj sukni, z czarnym aksamitnym workiem w ręku; wszedłszy, pokłoniła się z uszanowaniem Monarchini, i odebrała wzajemny, pełen życzliwości ukłon znajdujących się w komnacie.

„Siądź tu! de Villers!“ rzekła Marya Ludwika, wskazując krzesło przy sobie; „strudzi-

łaś się jak widzę. Ale tyś blada, zmieniona; czy znów jaka świeża klęska może?"

„O nie Pani! dzięki Bogu! żadna zaraźliwa choroba nie zjawiła się w mieście."

„Musiałaś jednak na ciężkie patrzeć cierpienia, kiedy, mimo widocznych usiłowań, pogody twarzy odzyskać nie możesz."

„Nie widziałam nic nadzwyczajnego, Najjaś. Pani!"

„Ja nadużywam twoich sił, kochana de Villers; — kto ma tylu, co ja, ubogich, temu więcéj jak jednéj jałmużniczki potrzeba. Zaczém jednakże ulże ci pracy, chcę ją z tobą przynajmniéj moralnie podzielić. Powiedz nam, co dziś zrobiłaś?"

Panna de Villers, ulubiona rodaczka Maryi Ludwiki, razem z nią przybyła do Polski, i jak ona przywiązała się do nowéj swojéj ojczyzny, — tkliwa, rozsądna, miała sobie powierzony wydział nadzwyczajnéj jałmużny królewskiéj, i dopełniała obowiązków swoich sumiennie i gorliwie. (1) Na zapytanie Pani, dobyła z woreczka zapisany papier.

„Nie chcę rejestru!" przerwała Królowa; „powiedz, gdzie byłaś?"

„Najjaśniejsza Pani!" rzekła z prośbą zapytana.

„Nie lękaj się skreślić obrazu cierpienia, dla mnie to nic nowego, a dla tych," dodała, wskazując na młode ślachcianki, „pożytecznem być może. W końcu, czyliż nie powinnam znać każdéj rany tego kraju, by ją uleczyć lub złagodzić."

„O Pani! bogdajbyś na wszystko środek znalazła! — Dopełniając woli twojéj, powiem więc: że od dawnego już czasu nędza i cierpienia przerażające mnożą się na téj ziemi — wylewy wody (2), choroby, głód z powodu szarańczy (3); wszystko to, chociaż łagodzone niewyczerpaną twoją dobroczynnością, ciężkie po sobie zostawiło ślady, a teraz ta wojna dopełniła miary klęsk wszelkich; w mieście, u drzwi zamkowych widzimy tylko tych, którzy cierpienie swoje zdołali przynieść aż do nóg twoich Pani! których wesprzeć, pocieszyć można; ale słuchając ich opowiadań, kraje się serce na myśl o wszystkich, co daléj od wszelkiéj pomocy, w wyludnionych siołach, spalonych miastach, lub Tatarskich obozach jęczą bez wsparcia i opieki. Ile to rannych, ile, ile sierot!"

Obie niewiasty pochyliły smutnie głowy, nawet na twarzach młodszych nie zwykła wyryła się zaduma.

O! czemuż poświęcenie jednego życia nie wystarcza na ulgę takiéj niedoli! rzekła po chwili milczenia Królowa. Gdyby zakonnicy? .... ale nie! klasztory zbyt są szczupłe, by znacznéj liczbie nieszczęśliwych schronienie dać mogły — a zakonnikom nie pozwalają ustawy opuszczać na długo swych mieszkań....

Podniosła się znowu u drzwi zasłona, i cichy głos panny pokojowéj dał się słyszeć.

„Pani podkanclerzyna Radziejowska prosi o pozwolenie, złożenia Najjaś. Pani swego uszanowania?"

„Wychodzę do ogrodu!" rzekła donośnie Królowa.

Opadły ku ziemi aksamitne fałdy, lecz po chwili znowu się wśród nich ukazała świeża główka dziewicy.

„Pani podkanclerzyna o krótką tylko chwilkę błaga W. K. Mości?"

Marya Ludwika skinęła niecierpliwie głową, twarz jéj schmurzyła się niechęcią, powstała, dając znać ręką, by jéj okrycie jakie podano, i właśnie gdy panna de Villers zarzuciła na jéj białą powłoczystą szatę; szafirowy, sobolem podbity płaszczyk, ukazała się na progu komnaty Anna z Słuszków, poprzednio Kazanowska, teraz Hieronima Radziejowskiego niechętna małżonka.

Piękność téj kobiety znakomitą była u dworu; przepych, znaczenie i bogactwa pierwszego jéj męża, umysł ukształcony i wesoły humor, zbliżyły ją do Maryi Ludwiki w początkach przybycia téjże do Polski. Późniéj lekkość charakteru, śmiałe obyczaje Anny, domaganie się jéj o rozwód z powtórnym małżonkiem, a w końcu z jéj namowy wykonany napad na dom jego, zniszczyły wszelki szacunek, zatarły życzliwość dawną Królowéj, i w chwili, gdy z uśmiechem wchodziła do mieszkania tak długo jéj przystępnego, zręczna niewiasta jednym rzutem oka poznała, że w miejscu przyjaźnego przyjęcia, znajdzie tu wyniosłą powagę Monarchini, zimną i surową naganę sędziego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(1) Porto Folio M. L. (2) W r. 1647. (3) 1648.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)